

Ks. Paweł Prüfer

W POSZUKIWANIU
RECEPTY NA ŻYCIE

Ewangelia codzienności

© Wydawnictwo WAM, 2012

Redakcja
Ewa Zamorska-Przyłuska

Korekta
Dariusz Godoś

Projekt okładki
Andrzej Sochacki

ISBN 978-83-7767-045-3

NIHIL OBSTAT. Przełożony Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego
ks. Wojciech Ziółek SJ, prowincjał, Kraków, dn. 25 kwietnia 2012 r., l.dz. 87/2012.

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Wstęp

Gonić za uciekającym zdarzeniem i złapać je w swoje ręce – to wydaje się dziś konieczne. „Odnosisz sukces – znaczyś”. Zaraz potem: „odniesiesz sukces – już teraz biegnij”. I jeszcze: „nie chce ci się biec albo biegniesz zbyt wolno, inni to robią, tyle że nie za ciebie”. *Przedmioty* takich haseł (jest ich już siedem miliardów) raczej to rozumieją. I przypuszczalnie – choć w wielkim stresie i z zapakowanym po brzegi plecakiem niepewności – pobiegną. Jednym jest łatwiej, bo mają wprawę w *bieganiu*. Od lat to robią. *Biegają*, żeby zdążyć. Chcą zdążyć na pociąg, chcą zdążyć za modą. Bycie poza burta ich nie interesuje. *Biegna* więc za niezbędnikami godziwego poziomu codziennej egzystencji. Ozdabiają w pośpiechu ściany domów, biur, ośrodków szkoleniowych, szkół. Dbają o szczególność własnego wyglądu. Gdy jest taka konieczność, spodnie zostają zaprasowane w kant. Innym razem oczywistością jest rozprasowanie kantów. Jeśli jednak i takie – rozprasowane – nie

bardzo pasują, zamieniane są na dżinsy. Głos dopingu, by jeszcze bardziej przyspieszyć, jest słyszalny na zewnątrz, jest słyszalny i wewnątrz. Inni oraz piętrzące się w środku ambicje – obie strony są wyjątkowo zgodne w przynagającym dopingowaniu „człowieka w teatrze życia codzienności” (E. Goffman 2010). Ale dzieje się także coś zupełnie odwrotnego. Cóż takiego? Gdzie? Kiedy?

Jakoś dziwniej i chyba niezrozumiale jednak pobrzmiewa zachęta (przynaglenie) do działania odwrotnego: cofać się, aby schwytać ponownie lub po raz pierwszy to, co minęło. Niezrozumienie tkwi głównie w poczuciu nieprzydatności, tym bardziej że cel jest mało wyraźny. Społeczność złożona jest z różnorodności. Istnieje realnie czy wirtualnie? W rzeczywistości czy wyobraźni? I tak, i tak – dał temu wyraz z właściwą sobie erudycją i wyjaśnił w pasjonującej książce o nieco złowieszczym tytule *Społeczeństwo w stanie oblężenia* socjolog Zygmunt Bauman (Bauman 2006: 53-60). Człowiek sam w sobie to genialna mozaika rozbieganych i jednocześnie połączonych detali, ukonstytuowany logicznie cud istnienia. Pośród tych różnorodnych jednostek najbardziej widoczne są *młode głowy* – nasączone po brzegi odrucha-

mi kształtowanymi przez dorosłych, czyli tych, którzy, obcy ze światem, nie działają w pojedynkę, lecz korzystają także z instytucjonalnej maszyny. Dorosli mają swój ambitny cel: nauczyć młodszych od siebie ludzkiego sposobu życia, wchodzenia do społeczeństwa, co nauki społeczne nazwą socjalizacją (Sztompka 2003: 390-393). Przy tym sporo jest narzekań i więcej jeszcze oczekiwań. A przecież należałoby chyba pozwolić im pójść własną drogą. Najlepiej zupełnie autorską, bez powtarzania schematu i bez nakładania na twarz karnawałowej maski, znoszonej i przetartej, bo używanej przez wielu. Dziwne to trochę, bo dzisiaj łatwiej i taniej jest kupić nowe, niż poszukiwać w antykwariacie rzeczy wszelakich. Dziwne są tutaj instytucje obsługi i dziwne zabiegi sprzedawcy, który nie odrobił lekcji z marketingu i wywierania wpływu na ludzi. Choć Robert Cialdini tak bardzo się starał, gdy ubierał w słowa myśli o tym, jak człowiek może wpływać na drugiego człowieka (Cialdini 2009).

Piotr Sztompka, znany i uznawany nie tylko przez czytelników zainteresowanych socjologią naukowiec, jako wybitny znawca dziedziny powtórzył to, co powtarzają równie wybitni i tylko od czasu do czasu parający się socjologią

badacze: „socjologia to nowa nauka na bardzo stary temat” (Sztompka 2003: 18). Dopiero całkiem niedawno udało się uporządkować wedle reguł naukowej dyscypliny to, czym ludzie żyli od dawna. Nawet jeśli im nikt jeszcze tego nie mówił, przekonując o poprawności metodologicznej i słuszności w dobieraniu narzędzi badawczych, intuicyjnie przeczuwali, że lepiej jest razem niż w pojedynkę. I bardzo często – również raczej systematycznie – potwierdzenie znajdowali w praktyce codzienności łowieckiej, towarzyskiej, obronnej, artystycznej. Czy wtedy, a tym bardziej teraz, tak samo logicznie i przekonująco mówił ktoś jednostce, zakochanej w społeczności wspólnotowej, jak ukształtować wzajemność odniesień, aby więcej szczęścia i więcej sensu było tam, gdzie chaos i niepewność mimowolnie dominują? A przy tym nie przekonując już z maczugą w rękę i płonąca pochodnią, ale mając w zamyśle i zastosowaniu logiczny wywód, argumentację, których należy użyć, by społeczność nie była Tönisowską *Gesellschaft*, lecz stała się czymś w rodzaju Tönisowskiej *Gemeinschaft*. Czym ona jest? Obecnością w bliskości, gdzie ludzie się znają, gdzie odczytują i rozumieją grymasy na twarzach innych, gdzie spotkaniu

z innymi nie towarzyszy stres, bo ci inni są bliscy. Potwierdzi to także Georg Simmel, dla którego jednostki są bardziej widoczne z racji ich uchwytności, dostrzegalności, czego o społeczeństwie powiedzieć nie można (Simmel 2008: 61).

Metod, narzędzi i technik przekonywania jest równie dużo co „formatorów” i krzewicieli poprawności moralno-społecznej. Mam tu na myśli wszystkich, którzy z zamiłowania i obowiązku podejmują się wprowadzania innych, im powierzonych, w dorosłość, dojrzałość, nasz zawiły i skołowany świat, z którym trzeba sobie umieć poradzić. Sposoby na zbliżanie się do szczęścia zapełniają półki księgarni, bibliotek, piętrzą się na kawiarnianych stolikach. Są na wyciągnięcie ręki i w cenie przystępnej nawet dla tej grupy społecznej, do której adresowana jest i o której przede wszystkim traktuje niniejsza książka. Mam na myśli studiujących i zamierzających studiować – dla rozprawiających się z wątpliwością, „czy w dobrą stronę idę?”. Tych, którzy może zadają sobie pytanie: czy jutro pójdą w dobrą stronę? (Prüfer 2010: 15). Oni właśnie stali się inspiracją dla podjęcia tej refleksji. Są młodzi, mają więc *energetyczną zdolność* pobudzania innych do prze-

myśleń. Dostarczają ją innym. Także autorowi tej książki – są więc grupą potencjalnych adresatów. Lecz obok nich – w moim skromnym przekonaniu – staje cały szereg tych, którzy razem ze studiującymi żyją w świecie pogmatwanych idei, ale i realiów budzących mimo wszystko nadzieję.

Moim marzeniem jest, aby zdarzyło się sięgnąć po tę książkę komuś, kto chciałby rozpoznać własną sytuację nie tylko przez pryzmat tego, co sam przeżywa i doświadcza, lecz również poprzez spojrzenie tych, którzy potrafią życzliwie „obserwować”. W obserwacji tej chodzi o pewną odwagę badacza, który słyszy zza zamkniętych drzwi różne głosy. Nie potrafi rozpoznać treści rozmów, ale wie, że mowa jest tam o ważnych sprawach – bo skoro dotyczą życia, to muszą być ważne. By nie pozostać zwykłym podglądaczem i podsłuchiwcem, musi zdobyć się na uczciwość i odwagę zapukania do drzwi, a następnie wejść do środka (por. Meghan 1993: 3). Wtedy już będzie wiedział, o czym mowa. Wtedy także, wsłuchując się w tłum rozgadanych postaci, poczyni swoje obserwacje, by po chwili opowiedzieć o nich tym, których dopiero co słyszał zza zamkniętych drzwi. Innymi słowy, drogi Czytelniku,

kimkolwiek jesteś – wystarczy, że czujesz w sobie społeczną naturę, a ta książka będzie dla ciebie. Jeśli twoje życie toczy się pośród stosu papierów zalegających blat twego biurka, do którego stale dokładają coś współpracownicy, i jeśli rozumiesz, że sam nie dasz rady nawet przerzucić ich na inne miejsce, lecz potrzebujesz do tego życzliwej pomocy innych, ta książka jest dla ciebie. Jeśli przejeżdżasz codziennie dziesiątki kilometrów, żeby spotkać się z tymi, którzy tak jak ty próbują pomnażać „dobra tego świata”, ta książka jest dla ciebie. Jeśli szukasz nowej pracy, bo możesz innym i sobie dać znacznie więcej i potrzebujesz większych wyzwań, ta książka jest dla ciebie. I wreszcie, jeśli choć raz pomyślałeś – niezależnie od tego, gdzie i kim jesteś – że warto iść przez życie, poszukując i pomnażając dobro, ta książka jest dla ciebie. Może już o tym słyszałeś, może tylko przypadkiem, przy okazji i powierzchownie, że już od ponad dwóch tysięcy lat krąży nad ludzkimi głowami i w ich głowach coś, co otrzymało nazwę „Dobra Nowina”. Jeśli słyszałeś, to ta książka na pewno jest dla ciebie. Jeśli jednak nie słyszałeś, to ta książka również może być dla ciebie. Po jej lekturze możesz odnieść wrażenie, że brak tu proporcji w sugerowaniu

adresatów i że największe „autorskie ciążenie” zwrócone jest ku młodym i dopiero studiującym. Twoje słuszne skądinąd wrażenie bierze się z kontekstu, w jakim autor tych refleksji od lat żyje. Cóż zatem – efekt zwykłego nasączenia bądź (czemu nie!) nawet „skrzywienia” obserwatora i analityka społecznej rzeczywistości, która go otacza.

Koncentruję się więc nie tylko na tych, którzy od dawna stają się „obiektem” badań socjologów, zwłaszcza socjologów edukacji i młodzieży. Treść moich rozważań dotyczy wszystkich, którzy – chcąc tego lub nie – tworzą mozaikę życia społecznego. Próba refleksji – jeśli przymierzać się do precyzowania metody opisu – lokuje się pomiędzy socjologią a namysłem teologicznym. Jedno i drugie związane jest z teorią i praktyką pracy oraz prywatnego życia autora, spotyka się w pewnego rodzaju interdyscyplinarnym i „międyplaszczynowym” sprzężeniu intelektualnych poszukiwań sensu i znaczenia oraz praktycznego ich wykorzystania w codzienności. Teolog, który zaciekawiony jest socjologią? A może socjolog, któremu nie jest obojętne teologiczne „wychylenie”? Autor przybiera obie te postaci. Teolog, któremu nie jest obojętne, czy ci wszyscy, co znaleźli

się w zasięgu jego słów, świadectw i pragnień ewangelizacyjnych, uchwycą z tego choćby cząstkę. I czy ta cząstka będzie dotyczyć tego, co społeczne z natury i z wyboru jednostek.

Niewielu nie przyzna racji Arystotelesowi, który sugestywnie przekonywał: „Kto zaś nie potrafi żyć we wspólnocie albo jej wcale nie potrzebuje, będąc samowystarczalnym, bynajmniej nie jest członem państwa, a zatem jest albo zwierzęciem, albo bogiem. Wszystkim ludziom właściwy jest z natury pęd do życia we wspólnocie, a ten, kto ją pierwszy zestroił, jest twórcą największych dóbr” (Arystoteles 2004: 28). Arystotelesowski socjolog to ten, który „wychyla się” ku rzeczywistości „wychylonej” transcendentnie, uznając ów kierunek nie tylko za poprawny, ale i niezbędny dla zrozumienia świata ludzi i świata społeczności. Tak więc przygoda intelektualno-duchowa, jakiej się z radością podjąłem, to ewangeliczna refleksja nad elementami świata, w którym przyszło nam żyć.

Przywołany już wcześniej brytyjski przedstawiciel socjologii edukacji Roland Meighan dzieli się tym, co na temat jego książki rzeczy bliska mu osoba, a zarazem pierwszy czytelnik: „Twój rękopis jest zarówno dobry, jak i orygi-

nalny, ale ta część, która jest dobra, nie jest oryginalna, a ta część, która jest oryginalna, nie jest dobra” (R. Meighan 1993: IX). Mając świadomość, że sytuacja może się powtórzyć, starałem się, by oba wymogi – oryginalności i poprawności – stawały się zbieżne jak najczęściej i jak najszerszej.

Rozdział I

Jestem dla siebie, ale jak?

Rozwój myśli społecznej, zarówno dotyczącej historii nowożytnej, jak i dużo wcześniejszej, dostarcza czasem zastanawiających – a innym razem tylko oczywistych – odpowiedzi na pytanie, dlaczego współczesność wygląda tak właśnie, a nie inaczej. Marzenia o nowym ładzie i porządku między ludźmi, pomiędzy ludźmi a instytucjami, pomiędzy instytucjami a ich globalnym otoczeniem, nie opuszczają ludzi i dzisiaj. Znaleźć sposób na przyjazne współbycie i współbrzmienie, aby nie doświadczać niepokoju i kłopotliwego stanu permanentnego rozdrażnienia – oto pragnienie, choć jedno z wielu, nie tylko domatorów i miłośników „oaz spokoju”, ale każdego przeciętnego człowieka. Niczym slogan powtarzana jest prawda o tym, że aby osiągnąć spokój i budować pozytywne więzi ze światem, trzeba najpierw ten spokój znaleźć w sobie i uczynić go sposo-

bem zawiązania przyjaźni z samym sobą. Wiemy o tym, wiele w tej sprawie robimy, lecz coś nam jednak wciąż nie wychodzi.

Chrześcijaństwo, w tym szczególnie tzw. katolicka nauka społeczna, w sposób usystematyzowany i organiczny przekazuje nam prawdę, już od ponad stu lat regularnie ją powtarza, że bez innych ludzi i bez społeczności jako takiej człowiek nie może zaspokoić swoich żywotnych potrzeb (Strzeszewski 2003: 155-159). Myśl socjologiczna wypowie to słowami Norberta Eliasa, który jest przekonany, że wszyscy ludzie, nawet jeśli się między sobą nie znają, przykuci są do siebie czymś w rodzaju niewidzialnych łańcuchów, a funkcje, które spełniają, uzależniają ich od innych. Nie znaczy to jednak, że jedni i drudzy są dla siebie nawzajem marionetkami, lecz że wyznaczają sobie wzajemnie obszary własnych możliwości i niemożności (Elias 2008: 20). W tym miejscu powstaje wyłom, który jednym udaje się jakoś zasypać i wypełnić, a innym niekoniecznie. Ci pierwsi, choć sami sobie poradzili, myśla o tych, którzy sobie jeszcze nie radzą. Chcą im pomóc. Czy potrafią? To już inna kwestia. Sprawą najistotniejszą jest jednak to, że chcą. I to pragnienie jest autentyczne. Stają więc

razem z tamtymi przed wyłomem i cierpliwie podpowiadają, własnoręcznie zasypując żmudnie przepaść, której głębokość mierzona jest ludzką nieufnością i niewiarą. Po pewnym czasie coś się udaje, widać skutki. Jedni i drudzy z zadowoleniem wpatrują się w zapełniającą się dziurę marazmu i niechęci, ponad którą wyrasta wreszcie coraz wyżej i wyżej stożek ufności i zrozumienia. „Oni mi pomogli, choć ich o to nie prosiłem”. Choć oczy były przez cały czas szeroko otwarte, teraz otworzyło się nieco również serce, wewnątrz. I pojawiła się być może myśl: „Mogę nadal myśleć i żyć dla siebie, lecz już trochę inaczej”. Potem przychodzi następna i jeszcze dojrzalej odmieniona: „Mogę nadal myśleć i żyć dla siebie, lecz już trochę inaczej, to znaczy ze świadomością, że inni też chcą żyć dla siebie”. Pierwszy krok do powstania więzi i do przekonania, że nie jestem ani zwierzęciem, ani bogiem, został postawiony.

Jeśli być dla siebie, to oczywiście na różne sposoby. Możesz pomóc sobie sam, mogą pomóc ci inni, może przyjąć ci z pomocą „Pierwiastek nadprzyrodzony”. W tym ostatnim chrześcijaństwo rozpoznało Osobę, która, jeszcze zanim to nastąpiło, po cichu i w ukryciu za nimi wędrowała. Gdy już Ją uznali za swoją,

podąży przed nimi, nie tylko dlatego, że została przez nich o to poproszona, lecz głównie dlatego, że jest mocniejsza niż ich mocne zamiary. Poniższe skromne refleksje-świadcstwa mają nie tylko socjologiczno-teologiczną perspektywę, lecz mogą także zainspirować refleksję nad znajdowaniem siebie, by być dla siebie, ale bez egoizmu.

Dusza i ciało – oby nic złego im się nie stało

Udowodnij, a uwierzę. Przekonaj, a się zgodzę. Pokaż, a powiem ci, co o tym sędzę – miejsce i czas nie odgrywają roli w pojawianiu się takich i podobnych dialogicznych komunikatów. Wielu przekonuje to, że Bóg i Ewangelia – choć to rzeczywistość zbawcza, a więc przekraczająca zmysły – jest jednak sprawą bliską życiu. I z przyjemną łatwością włączają w ten „dyskurs przekonywania” metaforyczne stwierdzenie: „niczym skóra ciała”. Czyli: „W niedoli proś, w powodzeniu dziękuj”.

W pomysłach na ludzkie szczęście prześcigają się koncerty, firmy i kreatywne jednostki. I czasem sami już nie wiemy, jak przyswoić

wszystko, co atrakcyjnie się nam proponuje dzięki porządnemu opakowaniu. Pierwszą maszynę wytwarzającą opakowania opatentowano w 1852 roku (Aldridge 2006: 50). Wszak chodzi o wyzwolenie perswadującej siły, przekonującej nas, że jest wiele produktów i spraw, bez których nie można się uszczęśliwić. Tak więc dorosły kupuje sobie (dorosłemu) zabawkę równie często jak swemu dziecku (a może częściej?). Czy faktycznie ze wszystkich kolorów najpiękniejsza jest biel? Tak powiedział ktoś, kto zna się na kolorach. Ale tuż obok, w niedługiej kolejce dostępu do naszych obecnych i przyszłych potrzeb, stoi niecierpliwie ktoś inny, kto na kolorach zna się równie dobrze. Przekonuje, że kolor doskonały i najpiękniejszy to czern.

Na jednej ze stron Biblii opisano scenę, jak to dziesięciu trędowatych doświadczyło w spotkaniu z Jezusem z Nazaretu oczyszczenia. Wcześniej nie przypuszczali raczej, że spotka ich Ktoś, kto z trądem radzi sobie jak z usunięciem łatwo zmywalnej plamy. Kto powie chorobie: „Uciekaj, to nie twoje miejsce”. I trąd znika. Skoro więc tak szybkie jest uzdrowieńcze działanie, nie trzeba tracić czasu na oznaki wdzięczności (spróbujmy wyobrazić

sobie prawdopodobny tok myślenia uzdrowionych). Nie ma czasu. Bezcenny czas. Jest trochę czasu na świętowanie, na podzieloną z innymi – na krótką chwilę – radość, że jest się zdrowym. Tak zwani behawioryści przekonują, że im częściej ktoś jest nagradzany, tym mniej wartościowa staje się nagroda. Czy nie mogliśmy dodać, że to, iż czasem jesteśmy zdegradowani, zasmuceni, przygnębeni i osamotnieni, wynika z powątpiewania w fakt, że żyjemy w rękach Boga, który daje to, o co z wiarą się prosi? A jeśli się żarliwie prosi, a odpowiedzi brak i daru brak, to czy nie pomoże wiara w to, że nieotrzymanie daru jest dla nas lepsze? Czy modlący się u schyłku życia Jan Paweł II nie prosił także o zdrowie dla siebie? Czy nie prosił swojego Boga, by dał mu utraconą zdolność przemawiania do tłumów? Powrotu do zdrowia nie było, a mocny głos nie wrócił. Tego, o co być może prosił, nie otrzymał. Otrzymał jednak w dwójnasób, uznany za świętego. A ile jeszcze otrzymali inni dzięki temu, że on nie otrzymał tego, o co prosił!